

сами о собі ■
сами о себе ■
самі про себе ■
самі пра сябе ■

samiosobie

miesięcznik społeczno kulturalny / 149 / kwiecień 2021



Ne tak szcze poka u nas

■ Ostatnio jakoś wyskoczyw mnie na Internetowi taki strim (i ne odin, bo po perszomu sam komputer poczaw dobirati wsi podobny toho typu peredaczy, publiczny online konsultacji, webinar... czy jak by szcze tam ich ne nazywajut) pro relacji pożytych baťkuow i doroslych diti. Nu tak słuchaju, dzwoniat dieti, wże dorosły, rozkazujut pro trawmy, czy nawet' czasami trudno to nazwati trawmoju, a raczej jakimś sowsiem neznacznym wydarzeniom z dalekoho proszłoho, kotore odnako tak wryezaloś w bardzo czustwitielnu strukturu psychiki ditiata, szto dosiuol, buduczy wże w lietiach, ne mohut pro sietie zabyti i jak wyjaśniaje psycholog, w taki to

a taki sposob odbiwajećcia wono na ich relacjach z okružajuszczym mirom. Ne howoru tut pro oczywisty sytuacji nasilija fizycznoho czy psychicznoho, tut to poniatno. Ale jakijis irundy, sztoś neznaczytelne baťki koliś skazali i dieti do sweji hrowowej doski nejak ne mohut toho zabyti. Uže simjie pozakładali, a wsio nesut (choczećcia skazati – tiahnut) obidu, a to i prosto nienawiś do baťkuow. Wmiesto toho, kob jak dorosłomu do sietoho problemu, jaki by wuon ne byw, puditi, pererobiti (a jak samomu ne udajećcia, to z pomoszczuju terapeuta, ale dobroho terapeuta, kotory szcze buolsz ne powredit, a faktyczno pomoże), to derżat ciele życie, sami muczaćcia i mu-

czat druhich, bo ne pererobiwszy trawmy, jak twerdiat psychoanalytyki, ne można miety poprawnych kontaktuw z druhimi ludima. To pro trawmy z maleńkości. Ale okazujećcia i teper ne umiejut po dorosłemu reagowati w relacjach z baťkami; może to tyji tarakany z proszłoho wsio wylaziat. Tak trudno pereżywajut i nerwujućcia tym, że na prykład mati (bo to czastiej wsio –taki wona) sztoś może i chotiela by szcze znati, intieresujećcia jak tam dieti, a toj i poraditi probuje, jak bida u ich, czy sztoś do jiedła pudsowaje. Dorosły nedorosły dieti wkurzajućcia: „jak maleńkomu” i nejak ne mohut poniaty, że mati z troski, z dobroho sercia, ponimawszy, jak zabiehany nasz wiek, a

może kob i potryebnuj szcze czutiś. Kazałoś by, szto tut diwnocho pry bliśkich odnoszenijach. A tut im każut: „dosiuol ne nauczyli, to wsio – teper ne pchaj nosa”. A szto ż psycholog na toje? A ot tak: raz tebie biesiat – ne jied’ do baťkuow, ne utrymuj kontaktuw, blokuj telefony. Ne narawićcia – ne obszczajsia, robi tuolko toje, szto chcesz, szto tobie pryjatne. Nu chwatiť takiji dalni, formalny odnoszenija: kartka czy telefon pud świaťo, czy na urodziny „pozdrawlaju i pa pa, leczu u mene dieľa”. A druhi psycholog (a konkretno psycholożka) na pytanie słuchacza: „szto ja dołžen swojemu roditielu?” odkazuje: „Wy nie dołžny swojemu roditielu niczewo”. Ot jak.

Ne odneji sugestycji, ny odnoho słowa, że może tyji pożyłji batki mohut podilitiś swoim dowhim opytom žycia i warto im choc zčasami prysłuchatiś. Ne wse ż wony z alzheimerom czy demencyjoju. To prawda, na komputerach ne bardzo znajućcia, po świeti – jak teper mołodyji – ne jiezdiat. Ale majut opyt žycia, jak to w odnuoj knižci skazane: mało baczyła, ale dowho baczyła.

Szto cikawo, ne było ne dnoho telefona na tuju około puwtora hodinnu peredaczu, a i w druhich, skargi od pożyłych baťkuow.

Sława Bohu, ne tak szcze poka u nas.

Pryhledajuś na moje maleńkie seło. Bolszeństwo ostali starutki kobiety. Žywut odny. Musit na starość, poka szcze jako – tako na chodowi i hołowa rabotaje, najlepi w swojuom hnidzowi; de tam perebiratiś w druhie mieście, chaj i do diti (jak to w posłowici pro staryji derewa). Prywykli, wsio znajut u sebe od liet. Dieti, kotory žywut w horodach, pryjeżdżajut, opiekujućcia imi. Kob lokszej baťkam było, porobili w chatach łazienki z brodzikami, bo do wanny ne bardzo wże wkarabkajućcia. I sztoż zwarane prywezut. Samochod to pryjeżdżaje z mnuożeń towaruw, ale i jakujuś strawu toże treba zjie-

sti. A ne wse je siły zwaryti. Pro pudwuorok uže ne howoryćcia, samo soboju ponimajećcia, szto od ranieji wesny do puoźnieji ose- ni wsio kruhom treba kositi.

Para konkretnuw.

Lidia. Upała, złomała sztoś w biodrowi. Na dwuor uže ne wychodit. Treba pudwesti i pomożti projti do łazienki. Jiesti toże pryhotowiti. Dwie doczki, zamużom, dietie majut i wnuki. Szcze robiat. Odnazhywe w horodowi, bulsz jak hodinu jiezdy. I wona po roboti jiede na wiosku, tut noczuje, a raneńko ohornuwszy mamu – znow do horoda za 50 kilometruw na robotu. W deń prybihaje druha doczka z susiednioho seła, miždu robotoju na poli.

Nadia. Na dwuor uže ne wychodit. Odin syn z pobliskoho horoda pryjeżdżaje w budionny dnie. Druhi, zdaliej – na subotu i nedielu. Tak miždu soboju dohoworyliś i dielaćcia opiekoju.

Handzia. Nedawno ostała sama. Syn z horoda, sztoraz jiede i jiesti waryt, i pro pudwuorok dbaje. Po dochtorach chodit. Lekiwze. Bywaje, że u matery ciśnienie poszybuje, spanikowana zwonit deś po puownoczy, a toj i zrazu w samochod. A zrania žesz do roboty. I może panika ne wse na mieści.

Ola. Syn z horoda, po roboti jiede. A to i z rania prypre, kob w pieczci napaliti, a to mati bude w zimnowi czerez deń sidieti. Koli treba, perenoczuje, jak matery huorsz. A jak ne noczuje, pered robotoju zwonit: wstała, jak czujećcia, szto prywezt. Robit zakupy w horodowi. Ale Ola poka szcze czasami i sama do samochodu obwoźnoho wyde, rozhlane. A syn juoj przykazuje: „Kuplaj szto tuolko chcesz, ne szkoduj hroszy”. Jak i mało czoho



w sadkowi czy horodowi, to wsio ż tuju žmieńku jahud, czy truskawok nese... Takaja mužskaja niežność.

A z tym zwonieniom to wsiak bywaje. Baťki raz uczujut, raz nie. A to trubku kiepśko połožad jeśli stacionarny telefon, a to z komurkoju nejak ne rozberućcia. Neraz mnie rozkazowali pro takiji hłuchiji telefony. Jak tak zdarajećcia, zrazu dumka, że może sztoś stałoś. Wskakujut w samochod, neważne jak by zmuczany ne byli i prut na wiosku.

Trochi osteruožno zadaju pytanie czut’ mołodszoju od mene znakomomu, kotory poczti deń w deń jiede do matery, choc sam szcze ne na emerytury i robit:

– Szto by ty odkazaw na takoje pytanie: czom ty matery ne oddasi do domu starcuw?

Ne wahajećcia z odkazom.

– Tam by mama po dwuch-troch dniach spustiła duch. Wona by tak pereżywała, nerwowalaś i skuczala za domom, że ne wydierżała by. Nu – zadumujećcia – jak wże by sowsiem nedwiżyma była i bez pameti, a ja nejak by ne daw rady i opieki, i roboty pohoditi, to tohdy może. A poka szcze... Wona ż mene wyhodowała, kuolko noczuw ne dospała.

Pomniaćcia szcze takiji sceny, poza moim sełom. U praźnik do stoła zasiadajut i stareńki baťki. Ne bardzo i etykiety znajut, i nawet’ toj wideleć i nuoż z ruki wylitaje, i

Niewysłuchana krzywda

Część 3

ciamkajut – słowom neestetyczno to wsio wyhledaje. A tut i hosti zza hranici. I oto simja syna ne wstydajećcia starutkich bałkuow. Razom za stołom posadili, a szcze i honoraćcia, i zabotiaćcia pro jich.

I druhi prymier, de syn perebira-jećcia z horoda na seło do mamy po wylewowi, nedwiżymejji, bez mowy. I sam try roky opiekujećcia jeju. Waryt, kormit, myje, pampersy zakładaje... Ot tak. De jaki i miew hryech mołodości – wsio zmyw.

Można by pytać, czy zawsze tak družno, czy wse jak w skazci. Pewno szto nie. Jak to w życiowi: bywaje perehoworaćcia, a toj i pozlostujut trochi. Ale nechto nikoho ne pokidaje, diety telefonuw ne blokujut, dalej jiedut i pomahajut. Może czasami prychodićcia im i zuby zatisnuti, bo razna wona taja starość, treba ż i sietie przyznati. No im i w hołowu ne pryde, kob ostawlati bałkuow, ne kontaktowatiś z imi. Samo soboju poniatne: to bałki dali życie, wyhodowali, wyuczylu, a teper jak neduży treba im pomożti. I jakaja tut szcze potryebna filozofia, koli u ich w hołowi i serciowi wsio poukładane jak treba, po bożomu.

A to sytuacja z kraju Jewroso-juza, sytuacja, pro ktoru realno znaju.

Pryjeżdżajut pożytyji bałki do doczki do horoda. Staryji, ale szcze dosyć sprawny, skoro samochodom kawałek dorohi sami umieli projiechati. Doczka żywe, jak to teper każut – z partnerom, w dwupientrowum domowi. Bałki pryjeżdżajut ryedko, na try-sztyry dnie. I – nocujut w hotelowi. Na tyji dwie noczy ne znajszoł mieścica w dwupientrowomu domowi u doczki. Neponiatno, nam szcze sietie – neponiatne. Ode jakoś ne czuoł poka, kob chtoś nawet znakomoho zaprosiwszy, odprawlaw joho naczowati do hotelu (i pry tuom szcze kazaw za sebe zapłatiti)... Nu, może skrajno piszu. I tam pewno dobry lude je.

Zoja Saczko
fot. **Marek Dolecki**

Od 1945 roku społeczność białoruska na Białostoczczyźnie doświadczała szczególnie traumatycznych sytuacji ze strony polskiego podziemia, które uczyniło z wypędzenia stąd ludności prawosławnej jeden z głównych celów.

Do grudnia 1945 roku z gminy Barszczewo (Choroszcz) wyjechało na Białoruś ponad osiemdziesiąt rodzin. Pewna liczba gospodarzy opuściła swoje wsie, przenosząc się do Białegostoku, na Ziemię Odzyskane lub w inne rejony kraju. W styczniu 1946 roku urząd repatriacyjny przejął w gminie Barszczewo tylko dwa gospodarstwa. Jak pisano w sprawozdaniu urzędu za styczeń, *największą bolączką był wzmógłony dopływ repatriantów ze Wschodu i brak gospodarstw pobiałoruskich nadających się do osiedlenia*. W tym punkcie cele władz i zbrojnego podziemia były zbieżne. W styczniu i lutym 1946 roku podziemni dokonali kolejnych zabójstw w Topilcu, Kościukach i Łyskach.

Wieś Kościuki była cała zasiedlona przez Białorusinów, to zmobilizowaliśmy całą siatkę i otoczyliśmy wieś. Strzelali do nas trochę, ale szybko to ucichło. Jeden czy dwa wyroki wykonaliśmy i kazaliśmy im wszystkim wyjechać do Rosji, skoro są Rosjanami. Tu nie było polskiej wsi. Jeszcze tej samej nocy przyjechali Ruscy. Samochody pancerne otoczyły wieś i dotąd pilnowali, aż wszyscy wyjechali. I na ich miejsce przyjechali ludzie z Wileńszczyzny – wspominał Antoni Iwaszcuk ps. „Zajac” z oddziału dywersyjnego WiN. W związku z tym – pisano w marcowym sprawozdaniu urzędu repatriacyjnego – Inspektorat Osadnictwa otrzymał około sześćdziesięciu nowych gospodarstw wolnych, białoruskich, na których osiedliło się 12 rodzin repatriantów (62 osoby).

I kolejna ciekawa relacja **Adama Bobrowskiego** z NZW: *To było 4 marca 1946 r., już Białorusinów stąd wypędzaliśmy, ale nie bardzo chętnie wyjeżdżali i tego dnia dwa samochody sowieckie przez Barszczewo jechały na Gajowniki, Zaczerlany na ich ochronę, a w Zaczerlanach mieli swoją placówkę, bo przecież te wszystkie wioski, Gajowniki, Zaczerlany, Kościuki, Topilec, Zawady, Trypucie, to wszystko było białoruskie. (...) No to potem kto na wiarę katolicko przeszedł to został, a jak nie, to tak jak za okupacji niemieckiej Żydów furmankami do getta wieźli i tak samo oni jechali. Ochrona przyjechała to dwa razy my ją roz... (rozpędzili?). Gogol (Józef, ps. Man, dowódca IV kompanii NZW, zam. kol. Zaczerlany) opowiadał, że Ruskie (z ochrony) mówili mu, że te Białorusy nie chco stąd wyjeżdżać. No to weźcie erkaem i z lasu puście im kilka serii. (...) Ci z ochrony zrobili tak jak im radził Gogol: wieczorem postrzelali nad jedną i drugą wioską z zapalających i Białorusini zaczęli wyjeżdżać. To puste wioski były. Na ich miejsce przyjechali zza Linii Curzona, ale tam też było pełno gadów.*

We wsi Zawady, którą zamieszkiwało przed wojną prawie trzystu prawosławnych, nie doszło do zabójstw, a wieś opuścili prawie wszyscy mieszkańcy. Tę sytuację wyjaśnił mieszkaniec Zawad, **Mikołaj Siergiejew**. Otóż w każdej wsi był ktoś, kto informował podziemie o tym, co dzieje się we wsi. Taka osoba była również w Zawadach. Sołtys, Józef Reduta, po naradzie z mieszkańcami, zawiadomił miejscowego informatora, że nie trzeba tu nikogo zabijać, ponieważ wszyscy mieszkańcy postanowili wyjechać na Białoruś. Poskutkowało.

W kwietniu 1946 roku PUR informował: *akcja osadnictwa,*

jak również ewakuacja ludności białoruskiej z terenu powiatu białostockiego wykazała duże nasilenie. Dzięki pomocy przydzielonego w tym celu wojska wieś Zawady i Zaczerlany gm. Barszczewo ewakuowały się w porządku i pozostawiając zabudowania w stanie nieuszkodzonym, nadającym się natychmiast do osiedlenia. Dzięki temu wieś Zawady zasiedlono całkowicie przez repatriantów z linii Curzona, zaś wieś Zaczerlany na wszystkich wolnych gospodarstwach. Napływ repatriantów w kwietniu ogromnie się wzmógł. Mimo zwolnionych przeszło stu gospodarstw na terenie powiatu białostockiego, ilość ta okazała się niewystarczająca dla pomieszczenia przybywających z granicy repatriantów.

Podziemni z NZW organizują kolejne akcje. Cytuję za **Henrykiem Zdanowiczem**: W godzinach rannych 19 kwietnia 1946 roku oddział NZW przybył do Zaczerlan. Dowodził **Władysław Sochor** ps. „Łysy”, „Groch”. W nocy pobierali kontrybucje od gospodarzy w Barszczewie, Ogrodnickach, Czaplinie, Mincach, Tołczach i Trypuciach. Było ich 18. Mieli zamiar rozbroić oddział Armii Czerwonej, stacjonujący w Zaczerlanach. Kiedy okazało się, że we wsi nie ma żołnierzy, doszła ich wiadomość o aresztowaniu „Hawra” (**Mieczysław Popko** dowódca IV kompanii NZW, zam. na kol. Gajowniki). Wówczas ktoś z grupy zaproponował zabicie **Mikołaja Kołodko** (sołtysa Zaczerlan), **Pawła Boczara** (podsołtysa Zaczerlan) i **Józefa Sochora** (sołtysa Gajownik). Mikołaj Kołodko (rocznik 1902) jeszcze podczas niemieckiej okupacji był wybrany sołtysem Zaczerlan. Kawaler, znany z lewicowych sympatii. Jego dwaj bracia, **Władysław** i **Jan**, wyjechali już do ZSSR. Mikołaj mieszkał razem z matką. Józef Sochor (rocznik 1908), należał do KPZB, a po 1944 roku do PPR. Wyznaczeni dokonali tego czynu. Do głębszego zrozumienia sprawy



– pisze Zdanowicz – podaję, że zamordowanie tych trzech osób nastąpiło po prostu na polecenie Popki, który miał powiedzieć przed aresztowaniem: *Jak ja zostanie zaaresztowany będzie trzeba Pawła Boczara, Mikołaja Kołodko i Józefa Sochora rozwalić*. Pierwszy około godziny szóstej został wyprowadzony Mikołaj Kołodko, który wywołał z domu Pawła Boczara (powrócił właśnie z robót w Niemczech do Zaczerlan i zamieszkał z matką **Anną** w gospodarstwie po kuzynie Józefie Sochorze zabitym podczas wojny). Obu rozstrzelano za stodołą Boczara. Potem udano się na kolonię wsi Gajowniki, gdzie mieszkał Józef Sochor w przystępkach u teścia. Sochor został zastrzelony w łożku. Żona **Anastazja** z ojcem i dwójką dzieci dwa tygodnie później wyjechała do ZSSR. Matka Pawła Boczara po zamordowaniu syna wyprowadziła do rodzinnej wsi Puchły.

26 lipca 1946 roku zabito prawosławną mieszkankę Rogowa, 29-letnią **Serafinę Liszyk**. Okoliczności i sprawcy zabójstwa tej młodej kobiety nie są znani.

13 sierpnia 1946 roku w nocy napadnięto na mieszkańca Majątku Rogowo **Jana Bartoszewicza**, (rocznik 1916), który spał w stodole. *Ktoś nagle ściągnął mnie z rusztu, zobaczyłem trzech osobników, których w ciemności nie mogłem rozpoznać. Wyrwałem się i schowałem się w siano, lecz przy świetle latarek odnaleziono mnie, wyciągnięto i zaczęto bić po twarzy. Następnie wyprowadzono na podwórze i trzymając za szyję w pole. W pewnym miejscu wyrwałem się i zacząłem uciekać, w tym*

*momencie trzech osobnicy zaczęli strzelać z pistoletów, lecz żaden nie trafił. Bandyci zabrali ode mnie buty, marynarkę i wszystkie moje dokumenta, jak: paszport niemiecki, zaświadczenie RKU i dowody na konia. Z bandytów biorących udział w napadzie rozpoznałem **Andrzeja Łuszyńskiego**, mieszkańca majątku Rogowo, **Andrzeja Grynasza**, mieszkańca wsi Ruszczany. Wyżej wymienieni bandyci ukrywają się od władz.*

30 października 1946 roku członkowie NZW zamordowali we wsi Dzikie 17-letniego **Aleksandra Chaniewskiego**. Prawosławną rodzinę **Konstantego Chaniewskiego** zmuszono do opuszczenia wsi. Wyjechali do Białegostoku, ale syn Konstantego, Aleksander, przyjechał na wieczorek do sąsiadów. Dowiedzieli się o tym miejscowi członkowie NZW. Do tej organizacji należał stryjeczny brat Aleksandra, **Edward Chaniewski**, ps. „Szach”, który zeznał, że wraz ze swoim drużynowym **Stanisławem Łotowskim**, ps. „Koło”: *udaliśmy się do swoich mieszkań, aby zmienić bieliznę. Po przybyciu do wsi Dzikie dowiedzieliśmy się, że akurat jest Aleksander Chaniewski. Powiedzieli nam o nim **Henryk Łotowski**, ps. „Chart”, brat zabitego mego kolegi Stanisława Łotowskiego. Po chwili ja i Stanisław Łotowski spotkaliśmy jeszcze dwóch członków naszej drużyny; pochodzą oni ze wsi Borsukówka, gm. Dobryniowo: **Józef Putra**, ps. „Ren” i **Eugeniusz Kruszewski**, ps. „Wicher” i razem udaliśmy się pod dom **Pawła Ostrowskiego**, gdzie siedział na wieczorkach Aleksander Chaniewski. Aby go wyprowadzić, ja i*

Stanisław Łotowski zostaliśmy na podwórku, bo by nas w mieszkaniu poznali, to do mieszkania poszli w/w ze wsi Borsukówka, my z Łotowskim staliśmy przy ganek. Kiedy wyprowadzili Aleksandra Chaniewskiego z mieszkania Ostrowskich, ja schowałem się za ganek, aby mnie nie poznał, gdyż jest on moim stryjczym bratem. Stanisław Łotowski poszedł naprzód, ci dwaj poprowadzili Chaniewskiego w stronę pagórka Kurhan, gdzie rośnie kilka sosen i tam go z nagana jednym strzałem zastrzelił Łotowski. Tamże na miejscu został on pochowany, zakopali jego w/w ze wsi Borsukówka. Gdy o aresztowaniu stryjczego brata, Edwarda, dowiedziała się siostra Aleksandra, Lidia: ...od razu udałam się do Woj[ewódzkiego] U[rzędu] B[ezpieczeństwa] P[ublicznego] w Białymstoku i złożyłam zamel-dowanie, że to na pewno Edward Chaniewski zamordował mego brata Aleksandra. W tym czasie wezwano Edwarda Chaniewskiego a i on mnie w oczy powiedział, że brat mój jest zabity i zakopany za wsią Dzikie na kurhanie w lasku, po czym narysował plan w jakim miejscu jest zakopany. Wtedy ja z Ewarestem Borkowskim pojedaliśmy tam, gdzie był zakopany mój brat i miejsce to znaleźliśmy. Ja zaczęłam grzebać ziemię i odgrzebałam pantofle na nogach, więcej patrzeć się nie mogłam, a odkopywał Borkowski. Brat mój był zakopany w ziemi nogami głębiej w ziemię, natomiast głowa była zakopana płytko, gdy odkopaliśmy to ręką trzymał się za włosy, które wyrwał z głowy i tak pozostało.

Dwa miesiące później prokurator polecił dokonać ekshumacji i sekcji zwłok Aleksandra, która wykazała, że na jego ciele nie było żadnych ran postrzałowych. Śmierć nastąpiła na skutek uduszenia, gdyż po otrzymanych uderzeniach tę-pym narzędziem w czoło i prawą szczękę, stracił przytomność, a następnie został zagrzebany.

Na kolejnym przesłuchaniu

Edward zeznał, że z rozkazu „Białego” zabito Aleksandra jako-by zdrajcę organizacji. Tak mógł brzmieć rozkaz – meldunek o konieczności zabicia Aleksandra – „zdrajca organizacji”, choć do organizacji mógł nie należeć.

Nie są to wszystkie ofiary teroru podziemia w naszych dwóch parafiach, topileckiej i choroszczańskiej. Przytoczyłam te, które zostały dokonane na parafianach. Ale nie wszyscy, których tu zamordowano, byli wiernymi parafii. Kilka osób spoza gminy Choroszcz pytało mnie swego czasu, czy nie spotkałam się z opisem zbrodni ich bliskich, zabitych po wojnie w tutejszej gminie.

Jaki był ogólny bilans? Ówczesną gminę Barszczewo opuściło ponad dwieście rodzin prawosławnych, z czego 190 wyjechało na Białoruś. Parafia choroszczańska liczyła w 1938 roku 667 wiernych, w 1944 – 550 parafian, a po okresie terroru i ewakuacji, w 1947 roku – 262 wiernych. Parafia Topilec przed wojną, w 1938 roku miała 1402 wiernych, w 1945 – 952 parafian, a w 1946 – już tylko 275 wiernych.

Stopniowo aresztowano większość członków podziemia, ale nie Piotra Grzybko. Sprawę agenturalno-poszukiwawczą „Młota” prowadzono aż do 1967 roku. Ale zanim zorganizowano stąd jego ucieczkę, w przebraniu księdza, „Świerk”, bo taki przybrał pseudonim, po 1946 roku dał się we znaki tutejszej ludności. Jak prosperowała „firma: „Świerka” opowiada anonimowy donos: W sprawie Piotra Grzybko syna Franciszka zamieszkałego w Majątku Rogowo. Piotr Grzybko syn Franciszka z Majątku Rogowo rabuje spółdzielnie i ludność cywilną ze swymi spółnikami Bołtryczukiem synem Nauczyciela Bogusławem. Wszystkie rzeczy zrabowane ukrywa u swoich kolegów, jak u Bagnowskiego, który utrzymywał dla nich nie tylko sklepik, ale restauracje, a towarami rabunkowymi handlował, wywoził do Białegostoku do sklepików, a

w zamian przywoził różne napoje i zakąski. (...) On ostatnio ukrywa się u Sokoła Piotra, sołtysa [Paniek] (...). My wszyscy boimy się jego. On postawił nowy dom za rabowane pieniądze, narobił w nim kryjówek i przechowuje w nich bandytów. Piotra Grzybka i bratanka swojej siostry (nieczytelne), u których znajdują się nieznajomi i wypijają, a później idą rabować proszę ich wszystkich wyłapać to możnaby spokojnie żyć.

Prawosławni Białorusini nie mieli znikąd pomocy – nikt nie przeciwstawił się ich bezsensownej wywózce (zginęło tysiące ludzi, zniszczono setki gospodarstw!). Ówczesna władza polska (i podziemie) potrzebowała gospodarstw dla Polaków-repatriantów.

Poza tym miejscowi podziemni dążyli też do przejęcia najlepszych ziem, które były własnością gospodarzy białoruskich. Część właścicieli zamordowano, część wyjechała, a niemało z nich zostało katolikami.

Jednak szczególnie zainteresowany ewakuacją Białorusinów był rząd radziecki. Białoruś była wyjątkowo wyniszczona i opustoszała, dlatego każdy przesiedleńca był na wagę złota. Na Białoruś wyjechało około 36 tysięcy osób wyznania wschodniego. Z pisma Wiktora Abakunowa i Ławrientija Canawy do Berii jeszcze z 3 listopada 1944 roku wynika, że w Polsce miały być aresztowane osoby przeciwdziałające prowadzonym przez nas działaniom zmierzającym do przesiedlenia Białorusinów, Ukraińców, Rosjan i Rusinów z terytorium Polski do Związku Sowieckiego. Abakumow i Canawa byli przekonani, że agentura Armii Krajowej prowadzi wielką pracę propagandową przeciwko przesiedleniom na Wschód. Jednak zgromadzone materiały nie dały podstawy do takiego wniosku.

Jaki powinien być stosunek Polaków do różnych grup ludności mówią Raporty sytuacyjne Komendy Okręgu AKO – WiN i tak:

Do Wojska należało podchodzić serdecznie, zdecydowanie wrogo podchodzić do wyższych dowódców, zdrajców, kacapów i Żydów. (...) Wszyscy Żydzi są współpracownikami UB i NKWD jako agenci, konfidenci i informatorzy. Białorusini – pracownicy UB i MO odznaczają się specjalnie wrogim nastawieniem do Polaków. A w innym raporcie: Zdecydowanie wrogo należy podchodzić do kacapów, Żydów i bić w nich stale.(!)

Kacap – to pogardliwe określenie chłopca ruskiego lub człowieka ograniczonego, a także pejoratywne określenie Białorusinów mieszkających na Podlasiu. A znacie to? *Ja nie kacap, ja katolik.* To jeszcze ciągle ma miejsce i wcale nierzadko zdarza się w szkole wśród uczniów. Swego czasu pewien prawosławny uczeń z piątej klasy tuż przed moją lekcją uderzył kolegę – mocno. Obaj wylądowali na dywaniku u dyrektora. Milczeli jak zakłęci. Gdy ukończyli gimnazjum (w zespole szkół), ten prawosławny przyszedł do mnie. Chciał wyjaśnić tamtą sytuację. *Proszę pani, on przez kilka miesięcy, prawie codziennie, po cichu podchodził do mnie i do ucha mówił mi „kacap” i uciekał.*

Każdy z nas, prawosławnych nosi w sobie piętno, które nałożono nam jeszcze przed wojną – przechodzi ono z pokolenia na pokolenie, ma swój wzorzec uczuć i zachowań. Taki problem opisała w 2017 roku **Ola Czerniawska**, pochodząca z Białegostoku a mieszkająca w Warszawie malarka. W swoim artykule „Najważniejszy człowiek w moim życiu” pisała: *Maluję to, co opowiadał mi dziadek. Pokazał, jak wygląda silnik samochodowy. Dzięki niemu dowiedziałam się wielu rzeczy: co to są tłoki i cylindry. Nauczył, gdzie szukać prawdziwków. I pomógł mi zrozumieć, kim jestem.*

Gdy był weekend, jechaliśmy w nasze ulubione miejsce – na plażę nad Czapliniąnką, dopływem Narwi. Mijaliśmy po drodze Zaczerlany i dziadek za każdym razem mówił: „Tu stał nasz dom, a to pole

aż po horyzont było nasze”. Nigdy się tam nie zatrzymywaliśmy. Przed powrotem do domu zachodziliśmy na mały cmentarz prawosławny, gdzie leżą moi prapradziadkowie – Agafia i Józef, pradziadek Michał i brat dziadka Stefan. A gdy był już starszy i rzadziej jeździliśmy do lasu, zaczął wspominać to, o czym w mojej rodzinie się nie mówiło. O tym, że prababcia Mania tak boi się podróżować, bo w 1915 r. przeżyła bieżęństwo. I że to dzięki temu, że Niemcy weszli, Sowieci nie zesłali ich do łagrów jako kułaków.

I że jak po wojnie poszedł na dancing i spotkał dwóch sąsiadów ze wsi obok, co byli w partyzantce, to musiał uciekać przez okno, bo rzucili w jego stronę: „A ten co tu robi? Bić kacapa!”. W rowie przy rzece przeleżał aż do rana, bo bał się, że przyjdą po niego do domu. Wiedział, że nie odpuszczą, bo wiadomo, że jak prawosławny, to pewnie kolaboruje z nową władzą ludową. Opowiedział też o Stefanie, tym, który leży obok prapradziadków na cmentarzu. Że zginął na wojnie od kuli. Jak byłam już w liceum, opowiedział więcej: że widział, jak go zastrzelili. Ostatnia wersja, jaką pamiętam, to taka, że we wsi ukrywał się kolaborant. Wyszedł z kryjówki i partyzant zaczął go gonić. Kolaborant wpadł do naszego domu i wyskoczył oknem, żeby zmylić tamtego. Dziadek się wystraszył i pobiegł na górę. Stefan zaparł drzwi swoim ciałem przed partyzantem, a ten strzelił w drewnianą przeszkodę, nie widząc, kto stoi po drugiej stronie. Trafił mu w głowę. Dziadek mówił, że ten człowiek potem bardzo żałował.

To, że prawosławie nas odróżnia, wiedziałam zawsze. Nie wiedziałam jednak, dlaczego dziadkowie mówią po polsku, chociaż ich pierwszym językiem jest białoruski. I dlaczego prababcia Mania nigdy nic po polsku nie powiedziała. Zaczęłam się zastanawiać, kim jestem. I dlaczego historia, jaką znałam ze szkoły, odbiega od tej dziadkowej. Już na studiach profe-

sorowie z warszawskiej ASP mówił mi, że jestem zbyt grzeczna i ułożona. Bo przecież artysta musi mieć w sobie trochę szaleństwa, ognia. A ja ten ogień dostałam trochę od tych dziadkowych historii. Po tym, jak opowiedział mi o Stefanie, zaczęłam rysować scenki z jego dzieciństwa w różnych konfiguracjach: z kolaborantami, Niemcami, sąsiadami z wioski, partyzantami. Przerabiałam to w kółko. Odtwarzałam te historie i czułam gniew. Że ta krzywdą jest niewysłuchana i że Białorusini z Podlasia nie mają swojego głosu.

I wtedy pojawiły się moje wspomnienia. Gdy byłam mała, usłyszałam dziwną mowę, którą rozmawiały mama, ciocia, babcia **Tosia** i jej siostra **Stefa**. A gdy pytałam, dlaczego tak mówią, ciocia prosiła, żeby już nie mówić *po naszymu* – trzeba rozmawiać po polsku, bo jak dzieci pójdą do szkoły, to będą je wytykać palcami. Ale zawsze, gdy przyjeżdżały do nas, mówiły i szeptały *po swojemu*. A mnie tak podobał się ten język i wspomnienia sprzed wojny, gdy rodzina mojej mamy zamieszkała w *świronku*, bo dziadek Józef budował piękny dom w Folwarkach. I te straszne wojenne, gdy Niemcy zastrzelili koleżankę mamy i gdy na kolonii nocowali partyzanci, których trzeba było nakarmić, napoić i pilnować, kiedy spali. A gdyby ktoś dowiedział się, to... wiadomo. Kiedy całą noc przeszukiwali gospodarstwo dziadków, zabierali wszystko co najlepsze, kiedy zamordowali z nieznanego powodu wuja w Tatarowcach, który osierocił czwórkę dzieci. I wiele innych, ciągle szeptały, ciągle cicho opowiadały sobie te niewysłuchane krzywdy.

Halina Surynowicz

W publikacji korzystano z zasobów Archiwum Diecezji Białostocko-Gdańskiej, Archiwum Państwowego i Instytutu Pamięci Narodowej w Białymstoku, Ośrodka Karta-Archiwum Wschodnie, ze „Wspomnień z czasów wojny” o. Wł. Garusowicza, z publikacji zamieszczonych na stronie internetowej Stowarzyszenia Pamięć i Tożsamość „Skala”, literatury przedmiotu i relacji.

Siewcy grozy

Żołnierzy wyklętych na Podlasiu często postrzega się wyłącznie w kontekście narodowościowym, jako zapiekłych nacjonalistów, wrogich wszystkiemu co – w ich pojęciu – nie dość polskie i rzymskokatolickie, w osiadłych tu od wieków Białorusinach widzących agentów obcego, wrogiego, państwa, wyznających – w zasadzie wszyscy – obowiązującą w nim ideologię.

Działania „wyklętych” nie były jednak skierowane wyłącznie przeciwko tym, których uznawali za „obcych”. Przez kilka powojennych lat toczyła się swoista wojna polsko-polska i poza wschodnim pograniczem i Podkarpaciem jej ofiarami padali głównie „swoi”.

Książka **Krystyny Badurki-Rytel i Zygmunta Rytla** „Patriotyzm po polsku” rzuca światło na położenie mieszkańców małych miejscowości wobec działań „leśnych”. Autorka, bo to ona napisała większość tekstów, urodziła się w Łazowie w gminie Sterdyń, w powiecie sokołowskim. To ta część historycznego Podlasia, którą po trzecim zaborze władze pruskie oddzieliły administracyjnie od reszty, a po 1815 roku znalazła się w Królestwie Polskim. Ale że to historyczne Podlasie, stała tam (a właściwie w położonym dwa kilometry dalej Łazówku) cerkiew, najpierw prawosławna, potem unicka, po 1875 roku znów prawosławna.

Jeszcze w XVI wieku objawiła się w tym miejscu Matka Boża. Świątynię zbudowano nad kamieniem, na którym była widziana, szczególną czcią otaczano zaś umieszczoną w niej ikonę Matki Bożej z Dzieciątkiem, zwaną Łazówkowską. Ikonę w 1915 roku mniszki z Wiorowa wywoziły do Rosji, skąd nie wróciła, a po wojnie cerkiew, na prośbę ludności – jak się podkreśla we współczesnych opracowaniach – stała się kościołem rzymskokatolickim, sanktuarium Maryjnym, w którym szczególną cześć oddaje się odtworzonej ikonie.

Opowiadam o tym tak szeroko, by podkreślić, że na tym terenie, zamieszkałym przez ludność obecnie uważającą się za odwiecznie katolicką, kwestia narodowościowa i wyznaniowa nie odgrywała żadnej roli.

Krystyna Badurka jest córką **Feliksa Badurki**, pierwszego przewodniczącego Gminnej Rady Narodowej w Sterdyni (odpowiednik wójta), w styczniu 1945 roku uprowadzonego i zamordowanego – no właśnie, przez kogo? Głównym wątkiem książki jest dochodzenie prawdy o tym co stało się z ojcem, kto za to odpowiada i gdzie został pochowany.

Feliks Badurka, ojciec rodziny, który w czasie wojny działał w AK, nie był ani członkiem PPR, ani wyznawcą komunizmu. Wojna się skończyła i wiedział, że teraz trze-

ba jak najszybciej pomóc ludziom. A że był z ducha społecznikiem, podjął się zadania.

W okolicy działały różne grupy „wyklętych” (nikt ich tak wówczas oczywiście nie nazywał). Niełatwo było ustalić, która z nich zamordowała ojca. Nie to było jednak najtrudniejsze. Najgorsza była zмова milczenia, jednakowo twarda przez pierwsze lata po zabójstwie, jak i współcześnie. Milczeli – to oczywiście – sprawcy, milczeli też wszyscy, którzy cokolwiek, nawet z drugiej ręki, wiedzieli. Strach zamykał usta. Ludzie ze sobą o tym co się dzieje w okolicy nie rozmawiali, nie wiedząc z kim mają do czynienia. Mama autorki na targu rozpoznała na ręce pewnej kobiety obrączkę męża. Jej też przerażenie ścisnęło gardło. Nie chciała ryzykować życia dzieci.

Groza tamtych lat, nigdy głośno nie ujawniona, zamknięta w prywatności, w kręgu najbliższych, a teraz przekuwana w mit i pomniki nieprawdziwych bohaterów, wciąż mrozi wiele serc. Siewcy tej grozy, jeśli dożyli, są publicznie honorowanymi starcami. O ich ofiarach pamiętać się nie chce.

Krystyna Badurka ustaliła wreszcie, z dużym prawdopodobieństwem, co stało się z ojcem. Groza tamtych lat nie stała się przez to mniejsza.

Dorota Wysocka

Krzyki słyhać było daleko

Daleka jestem od politykowania. Jednak zdarzenia, które miały miejsce 75 temu nie mogą pozostać mi obojętne. To właśnie wtedy spalono wieś Zaleszany, a potem też Zanie i Szpaki. Przypominam co mama mówiła o tym. Nie o Zaleszanach, bo te były daleko. Tylko o Szpakach i

Zaniach, i o Strykach. Kiedy płonęły domy w Szpakach, było słyhać do Stryk jak krzyczeli ludzie, a to odległość około 10 km. Niektóre rodziny z Zań uciekły do Stryk. Wiem o jednej rodzinie, która już tam została i mieli przydomki Zaniuwec albo Zaniuwianka.

Mama najgorzej wspominała te

czasu powojenne. A wojna przecież w takich Strykach skończyła się w 1944 roku. Ale czy się naprawdę skończyła? Jeszcze nie zapadał zmrok, a już przychodzili bandyci, bo tylko tak ich nazywano. Ludzie tak bardzo skrzywdzeni przez wojnę, często bez domów, bo te się spaliły, wciąż się bali. Mama

opowiadała, jak Niemcy dawali cukierki, a partyzanci zapraszali na kaszę. Nawet to, że w 1944 roku spłonęły ludziom domy, nie było tak straszne jak ten czas późniejszy. Mama zawsze mówiła, że tamto to była wojna, front, jak to określała. I było wtedy bardzo źle, jednak ten późniejszy czas był o wiele gorszy. Może dlatego, że tymi bandytami okazywali się sąsiedzi?

Ten strach zostawał przez lata. Strach przed bandytą, co zapuka do drzwi, zabierze najcenniejsze rzeczy, a w najgorszym wypadku podpali dom i zabierze życie. To był najstraszniejszy czas w życiu tych ludzi. Nie wojna, która była czasem niepewności, śmierci, pozbawienia domów, wywózek, ale ten czas wydawałoby się pokoju. Ludzie na wsiach nie zajmowali się polityką. Chcieli spokojnie żyć, pracować, odbudować dom po wojnie. Ci którzy krzyczeli wtedy w Szpakach, to nie byli jacyś zdrajcy, kolaboranci, wrogi element, tylko zwykli prości ludzie, dzieci, kobiety, kobiety w ciąży, starcy. Ludzie, którym udało się przeżyć wojnę, ale czas powojenny stał się dla nich straszniejszy.

Jak napisałam na początku, nie chcę zajmować się polityką. Nie chcę wnikać jakoś w to głęboko. Jednak wiem, że pozbawianie życia prostego człowieka, palenie jego domu, zabijanie dzieci, nie może być w żaden sposób usprawiedliwione. Może dziś, kiedy tak dużo mówi się o ochronie życia w każdej jego fazie, warto też pomyśleć, że nie można gloryfikować tych, którzy zabijali dzieci, starców, kobiety w ciąży. A bandytę po prostu nazwać bandytą i starać się, żeby takie rzeczy nigdy się nie powtórzyły. W każdym narodzie są dobrzy i źli ludzie. Tylko zło też trzeba nazwać po imieniu.

Wyobrażam sobie taką styczniową, czy lutową zimną noc i krzyki ludzi, które słysząc na dziesięć kilometrów dalej. Jakie to musiało być straszne.

Iwona Zinkiewicz

Michał Wasiljewicz Aleksiejczyk nie żyje

■ Człowiek niezwykle – białoruski patriota. **Michała Wasiljewicza Aleksiejczyka** poznałem w 1992 roku, kiedy przywiózł go z Warszawy do Hajnówki białoruski działacz społeczny dr Mikołaj Aleksiejuk na jubileuszowy koncert poświęcony dziesięcioleciu Białoruskiego Zespołu Pieśni Hajnowskiego Domu Kultury.

Po koncercie spotkaliśmy się w moim domu na kolacji, na której był obecny o. **Michał Niegierewicz**. W ten sposób zadzierżgnęła się przyjaźń trzech Michałów. Później zawsze przypominał, że Hajnówkę łączy trójca. Trójca trzech Michałów – Michał Aleksiejczyk, o. Michał Niegierewicz, Michał Bajko.

Często opowiadał o trudnych sytuacjach, jakie spotykały go podczas pełnienia służby konsularnej. Przypomina mi się jedna, związana z wycofywaniem żołnierzy radzieckich z NRD. Wyjeżdżających żołnierzy zatrzymały władze polskie i kazały płacić za przejazd. Koczowanie trwało chyba ze dwa tygodnie. Michał Wasiljewicz prowadził rozmowy z



władzami i dowodził zatrzymanym jedzeniem i środkami higienicznymi. W końcu przepuszczono wracających do Rosji żołnierzy.

Lubił zbierać grzyby. Często przyjeżdżał na grzybobranie. Jego służbowy samochód stawialiśmy w garażu, a wyjeżdżaliśmy moim. Żona pilotowała nas na miejsce zbierania grzybów, w okolice Jelonki.

Lubił również wędkować. Kiedyś dzwoni do mnie: – Złowiłem dużo ryb, jest post, czy wypada zawieźć ryby mnichom w Supraślu?

Od redakcji:

Michał Aleksiejczyk, gdy zakończył służbę dyplomatyczną w Polsce, pracując już w Mińsku, wszystkie swoje siły zaangażował w budowę cerkwi w Marinej Gorce. To niedaleko Mińska, na Puchłowszczyźnie, na której komuniści zmiotli 27 cerkwi, zostawiając jedną, jak ziarno – później się okazało. Wszak region, przylegający do stolicy, miał być wolny od cerkwi i duchownych, którym dano miejsce w łągach, więzieniach lub rozstrzelano. Dziś na tej ziemi, na której niósł swój *podwig* władca **Wieniamin**, obecny metropolita miński i słucki, otwarto już

ponad 20 parafii. Cerkiew, budowę której wspomagał Aleksiejczyk, nie jest parafialna. Wzniesiono ją dla studentów kolegium rolniczego i oddano pod opiekę św. Tatianie, *pokrowicielnice* studentów oraz jego żony. To białoruski dyplomata zamówił na Atosie i ufundował do tej cerkwi ikonę św. Gabriela Zabłudowskiego, a władca białostocki i gdański **Jakub** podarował w lutym 2019 roku do ikony cząstkę relikwii św. Gabriela. W części ołtarzowej tej cerkwi położono kamień poświęcony przez Aleksiejczyka z Atosu, który odwiedzał Świętą Górę.

Gdy pewien wysokiej rangi urzędnik podsumował jego zaangażowa-

Zawsze był obecny na Nocy Kupały w Białowieży.

Nie był obojętny na losy naszych weteranów, którzy walczyli w Armii Radzieckiej. Ubolewał, że polskie władze nie chcą o nich pamiętać. Organizował spotkania z weteranami. Mówił: – Jak ja nie zorganizuję, to kto o nich wspomni? Że walczyli i wyzwolili Białostoczną od niemieckiego okupanta.

Przyjaźnił się z wieloma Białorusinami na Białostocczyźnie. Zawsze przed Nowym Rokiem przyjeżdżał i przywoził prezenty. Dzwonił i pozdrowiał z okazji imienin i świąt Paschy czy Bożego Narodzenia.

Ostatnie pozdrowienia nadeszły z Mińska na bardzo ozdobnej kartce z życzeniami Bożego Narodzenia.

Pracował zbyt wiele i chyba dlatego zachorował. Znalazł się w szpitalu w Bielsku Podlaskim. Odwiedziłem go. Stan był niezadowolający. Zapadł w śpiączkę. Dopiero po kilku dniach, gdy stan się bardzo pogorszył, odwieziono go do Mińska.

Już nie wrócił do Białegostoku, a miał zrobić pożegnanie w związku z odejściem na emeryturę.

Michał Bajko
fot. archiwum autora

nie przy budowie cerkwi słowem „zwarowałeś!”, odpowiedział mu: – Odebraliście młodzieży *oktiabriet*, pionierów, komsomoł, wszystkie idee odebraliście, pozwólcie więc młodemu człowiekowi do Boga się zwrócić! Niech wzrasta pod opieką Bogarodzicy i świętych, bo Internet do duchowego dobra nie doprowadzi, choć jest użyteczny.

Michał Aleksiejczyk był w dzieciństwie ochrzczony potajemnie. Wspominał: „Szofer Kapustin przywiózł do naszego domu batuszkę, ukrytego oczywiście. W domu zgromadzono wtedy dużo dzieci. Batuszka chrzczył je wszystkie. Takie były czasy!”.



“Ніве” – 65 гадоў

Першы нумар Тыднёвіка беларусаў ў Польшчы “Ніва” быў выпушчаны ў Беластоку 4 сакавіка 1956 г. Назву выдання трэба звязваць з “Нашай Нівы”, якая напачатку XX ст. выходзіла ў Вільні. Першым рэдактарам газеты стаў літаратар **Георгій Валкавыцкі** (1923-2013), урадженец Белавежы. Дзякуючы яго дыпламатычным здольнасцям, “Ніва” далікатна абыходзіла абавязваючую тады цензуру. Друкаваліся тут матэрыялы пра гісторыю і культуры беларусаў у Польшчы, вылучаліся добрыя рэпартажы.

З самога пачатку вялікай папулярнасцю карыстаўся насценны “Каляндар”, з пазначанымі праваслаўнымі святамі.

У 1960-ыя гг. у “Ніве” надрукавалі вялікі фотарэпартаж **Уладзіміра Паўлючука** і **Міколы Гайдука** пра свята Спаса на Грабарцы, а ў 1981 г. інтэрв’ю з мітрапалітам **Васіліем (Дарашкевічам)**. У гэты час гістарычныя матэрыялы пра царквы пачаў у “Ніве” друкаваць а. **Рыгор Сасна**.

З самога пачатку змяшчала тут свае матэрыялы шмат іншых карэспандэнтаў з розных куткоў Беластоцчыны. Рэдакцыя

арганізавала для іх штогадовыя з’езды.

Дзякуючы **Георгію Валкавыцкаму** важнае месца ў “Ніве” займала літаратура. На спецыяльнай “Літаратурнай старонцы” газета друкавала творы беларускіх паэтаў і празаікаў з Беластоцчыны ды іншых рэгіёнаў Польшчы. У 1958 г. стварылі яны сваю арганізацыю – Літаратурнае Аб’яднанне “Белавежа”.

Шмат увагі “Ніва” прысвячала беларускаму школьніцтву на Беластоцчыне. Журналісты наведвалі школы, пісалі рэпартажы пра настаўнікаў і вучняў. З часам узнікла старонка для дзяцей “Зорка”, дзе маглі друкавацца таксама школьнікі. Доўгія гады дадаткам кіравала **Яніна Чэрнякевіч**. Цяпер рэдактарам “Зоркі” з’яўляецца **Ганна Кандрацюк**, аўтарка дасканалых рэпартажаў. Пад яе кіраўніцтвам, з 1990-ых гг. пастаянна праводзіцца “Сустрэчы Зоркі” – майстаркласы для дзяцей, звязаныя з журналістыкай і мастацтвам.

З 1992 г. выдаўцом “Нівы” з’яўляецца Праграмная рада, якую складаюць члены розных беларускіх арганізацыяў. Апрача выпуску газеты, важным напрам-

кам дзейнасці Рады з’яўляецца выдаванне кніжак гістарычнага і літаратурнага зместу. Вылучаецца тут серыя мемуараў жыхароў Беласточчыны пра падзеі XX стагоддзя. Дагэтуль выйшла чатыры яе тамы, пачынаючы з “Бежанства 1915 года”.

Два гады пасля выхаду першага нумару “Нівы”, 15 чэрвеня 1958 г. Польскае радыё Беласток выпусціла 15-ці хвілінную перадачу на беларускай мове. Праграмы спачатку рыхтаваў **Мацей Канапацкі** (1926-2020), народжаны ў Вільні беларускі татар, выпускнік Віленскай беларускай гімназіі. Пасля займаўся гэтым **Лявон Майсяюк**, **Віктар Рудчык** ды **Уладзіслаў Праховіч**. З 1990 г. беларускія перадачы

“Пад знакам Пагоні” выходзяць штодзённа. У суботы і нядзелі па-беларуску гучаць і праваслаўныя перадачы.

Важную ролю для беларусаў Падляшша мае Радыё Рацыя. Сярод перадач вылучаецца суботні, трохгадзінны “Беларускі канцэрт пажаданняў”, які спрыяе кансалідацыі мясцовых беларусаў і падтрымцы роднай мовы. Іншай, істотнай з нашага пункту гледжання перадачай, з’яўляецца “З Падляшша родам”. Дзякуючы ёй удалося стварыць вялікі аўдыёархіў звыш 500 гадзінных размоваў з рознымі асобамі, звязанымі з Падляшшам. Мае гэта незвычайную, гістарычна-культурную вартасць.

Дарафей Фіонік

Узараў Георгій «Ніву» ў 1956 годзе...

■ **Лёс Георгію Валкавыцкаму** наканаваў 90 гадоў, як яму цыганка наваражыла яшчэ ў Кёнігсбергу, калі быў на прымусовых работах. Скончыў сямігодку і рамесную школу, працаваў лесніком, рабочым, слесарам.

У 1954 годзе Валкавыцкі скончыў Літаратурны інстытут імя Максіма Горкага у Маскве. Прыехаў у Беласток, дзе ў 1956 годзе заснаваў тыднёвік “Ніва”, якім кіраваў 32 гады. Быў адным са стваральнікаў і лідараў Беларускага грамадска-культурнага таварыства і Беларускага літаратурнага аб’яднання “Бела-вежа” ў Польшчы.

Хросны бацька пасляваеннага беларускага літаратурнага руху ў Польшчы паходзіў якраз з Бела-вежы, асаджанай пасярод слынай пушчы на польска-беларускай мяжы. Акрамя “Нівы”, шмат гадоў рэдагаваў “Беларускія календары” і многія літаратурныя выданні, якія выходзілі на Беласточчыне. Зрабіў неацэнны

ўклад у захаванне беларушчыны на Беласточчыне, на наш доступ да беларускага слова напісанага ў свеце, не толькі ў Беларусі.

Пад псеўданімам Юрка Зубрыцкі, Ювэ, Рыгор Лясун і іншымі Георгій Валкавыцкі пісаў і друкаваў свае вершы. Сам свайго выдаваў мала, аддаўшы сваю ўвагу творчасці калег, моцна і быццам бы непрыкметна кіруючы літаратурным рухам. Быў паэтам, але перш за ўсё журналістам і рэдактарам. Як пісаў у «Вірах», ён «Журналістам стаў па наіўнасці. Відаць, прыроднай, бо яна дагэтуль ставіць мяне часта ў клапатлівыя сітуацыі. У дзіцячых летуценнях увесь свет скалясіў, і, мабыць, не толькі дзеля адкрывання таямнічых выспаў...». І прыцягнуў у «Ніву», ад 1956 года, месца спалучэння беларускага ўсходу і захаду, былога і новага, такіх як ён...

Выйшла дугэтуль 3385 нумароў «Нівы» – тыднёвіка беларусаў у Польшчы!

Міра Лукша

Wieś i ludzie

Nakładem Stowarzyszenia Muzeum Małej Ojczyzny w Studziwodach, w ramach serii wydawniczej „Historia i kultura podlaskich Białorusinów”, ukazała się książka „Wieś Gregorowce i... ludzie”. Jej autorem jest Eugeniusz Siemieniuk, absolwent liceum białoruskiego w Bielsku Podlaskim, architekt z wykształcenia i zawodu oraz genealog, krajoznawca, animator historii i kultury z zamiłowania. Twórca przenikliwy, obdarzony darem literackiego słowa. Gregorowce są jego rodzinnym gniazdem, porzucenym w szesnastym roku życia, obecnie na nowo odkrywanym.

■ Gregorowce, tak jak dawniej, zamieszkuje dziś w większości prawosławna ludność białoruska. Wjeżdżających do niej witają dwujęzyczne, polsko-białoruskie tablice z nazwą miejscowości. Bo przecież Gregorowce leżą w gminie Orla, gdzie język białoruski jest drugim urzędowym i której większość mieszkańców, w spisie powszechnym sprzed dziesięciu lat, zadeklarowała narodowość białoruską. Wierzmy, że tak będzie również podczas spisu tegorocznego.

Już w pierwszym rozdziale książki autor absorbująco pisze o tym, skąd się wzięły Gregorowce. „Najstarsza, znana siedziba rodu Skirmuntów znajdowała się w okolicach Mohylewa na obecnej Białorusi oraz niedalekiego Smoleńska. To ziemie odległe 600 kilometrów w linii prostej od Gregorowców. Tam do lat 20. XX wieku znajdowała się miejscowość parafialna Hrehorowce. Ale nie tylko... W niewielkiej odległości od siebie były tu także



zlokalizowane: Kruhłe, Olekszy, Krasna (Wieś), Suraż, Horodok (Gródek), Swetowszczyzna, Kliny i Teklinowo. Wojny, epidemie i inne kataklizmy powodowały ucieczkę ludności z tych terenów i przeniesienie się do nowych, bezpieczniejszych do życia miejsc. W taki sposób na Podlasie trafiło wielu ludzi spod Witebska, Mohylewa czy Smoleńska, zakładając tu nowe miejscowości”.

Autor oczywiście zaznacza, że to tylko legenda, jednakże nie bez podstaw... Dokładniejsze dokumentowanie naszych Hrehorowców (Gregorowców) rozpoczyna się jednak dopiero w I połowie XVI wieku, kiedy rozległymi terenami w granicach obecnych parafii Podbiele i Wólka Wygonowska władał wpływowy, ruski ród Wahanowskich. Właścicielem Wólki Wahanowskiej (Wygonowskiej), Podbielska (Podbiela) i Krasnego Sioła (Krasnowsi) był wówczas **Hrehor Aleksandrowicz Wahanowski**. To on mógł dać początek nazwie wsi Hrehorowce, która w języku podlasko-ruskim brzmi – *Ryhoruwci*.

Książka o Gregorowcach to przede wszystkim książka o ich ludziach. Oczywiście nie wszystkich. Autor skupia się szczegółowo nad historią nazwisk ludzi, którzy w wieku XIX i XX przybyli tu z innych miejscowości. Pokazuje przez to, że również wcześniej społeczności wiejskie nie były hermetyczne i zasilają się wzajemnie w sensie demograficznym. Nie można więc mówić o *zawołkach* czy miejscowych „czystych rodach”, bo w większości naszych rodowodów istnieją różnorodne linie. Do Gregorowców ludzie wychodzili za mąż lub wżeniali się z różnych kierunków, najczęściej z najbliższych miejscowości, takich jak Suchowolce, Saki, Gredele, Dydule, Moskiewce, Czechy Zabłotne czy Malinniki. Ale przybywali też z dalszych – Policznej, Witowa czy Kuzawy. Dzięki nim niewielkie niegdyś Gregorowce mogły się rozwijać.

Poza księgami metrykalnymi, z których autor korzysta skrupulatnie, dużą wiedzę o demografii i nazwiskach dają cmentarne nagrobki. **Eugeniusz Siemieniuk** dokonał szczegółowej inwentaryzacji gregorowskiego cmentarza, włącznie z nadaniem każdemu pochówkowi współrzędnych GPS.

Rozdział o gregorowskich nazwiskach ilustruje kilkadziesiąt fotografii portretowych, które ilustrują

piękno i dostojność naszych prostych ludzi. Na podstawie tych obrazów można stwierdzić, że kiedyś prawie wszyscy ludzie byli fotogeniczni. Część z zamieszczonych w książce fotografii wykonał **Aleksander Siemieniuk**, zwany Szurką, ojciec autora. W społeczności wiejskiej była to postać nietuzinkowa. Człowiek przedsiębiorczy, postępowy, odważny, zaradny i bezkompromisowy. To dzięki m.in. niemu po wojnie w Gregorowcach powstała spółdzielnia produkcyjna, a we wsi już w 1952 roku założono elektryczność.

Podobnie jak ojcu, oddzielną opowieść autor poświęca swej matce **Aleksandrze Siemieniuk**, Szurce. Pochodziła z Topczykał. Po śmierci pierwszego męża wyswatał ją do Gregorowców. Drugi mąż zmarł jednak po kilku latach, a ona pozostała sama z czwórką dzieci. Im poświęciła całe swoje życie. Autor w szczegółach rekonstruuje obraz tej najbliższej sobie osoby, wystawiając jej piękny, nie ręką uczyniony pomnik.

Inne opowieści o ludziach z Gregorowców dotyczą również postaci ciekawych: **Andrzeja Szkody**, wiejskiego kowala, przez najbliższą rodzinę w dzieciństwie „spisanego na straty” oraz **Aleksandra Krota**, Ola, wielkiego społecznika, na którym w społeczności wiejskiej ciążyło brzemień dziecka nieślubnego. Znajdziemy także opowieść o bezdomnym, ale zawsze eleganckim **Wani Kacu**.

Oddzielny rozdział w książce to „Ryhoruwski roskazy”, napisany w gregorowskiej gwarze języka podlasko-ruskiego. W *roskazach* przejawia się literacki talent autora, zdolność tworzenia wciągającej opowieści na podstawie jednego wydarzenia czy losu. Pierwszy z *roskazów* powstał na kanwie historii kobyłki – klaczy, którą rodzina Siemieniuków zakupiła do swego gospodarstwa. Niestety, okazała się zwierzęciem wrednym i nieprzewidywalnym, dlatego trzeba było ją zbyć. W taki sposób trzynastoletni

autor pojechał z bratem Szurką do Bielska, aby sprzedać kobyłkę handlarzowi z ulicy Brańskiej. Ale tu oto mimochodem wszyscy stali się zupełnie przypadkowymi świadkami... inwazji wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację. Przez kilka godzin Szurka, Gienio i kobyłka wspólnie obserwowali, jak brańską szosą, ze wschodu na zachód, ciągnie kawalkada techniki wojskowej. Był rok 1968...

Inne dwa *ryhoruwski rosказы* opowiadają o Waniuszce – **Janie Siemieniuku**, stryju autora oraz Naści Policzniukowej – **Anastazji Stepaniuk**, osobie z niezwykle darem opowiadania historii. Takich zresztą w Gregorowcach było i jest więcej. Możemy się o tym przekonać z filmów wspomnieniowych, zamieszczonych przez autora na kanale YouTube. Część z nich można odtworzyć smartfonem, za pomocą kodów QR, umieszczonych w książce. Filmy i inne materiały o Gregorowcach Eugeniusz Siemieniuk sukcesywnie udostępnia na stronie <https://pl-pl.facebook.com/gregorowce/>, którą prowadzi od sześciu lat.

Niewątpliwym walorem książki „Wieś Gregorowce i... ludzie” jest przystępność tekstu, przejrzysty układ i mnogość fotografii. To zachęci niewątpliwie ludzi związanych z Gregorowcami do dalszego odkrywania własnych rodzinnych historii. Książka nie jest, jak podkreśla autor, kompleksową monografią miejscowości. Nie znajdziemy tu bowiem opisu



WIEŚ GREGOROWCE I... LUDZIE



EUGENIUSZ
SIEMIENIUK

historii dworów, parafii, stacji kolejowej czy szkolnictwa. Mamy za to do czynienia z unikalną pracą u podstaw, gdzie tradycja historyczna niewielkiej wsi staje się bazą wieloletnich badań i popularyzacji.

O. **Konstanty Bondaruk** w swym „Słowie”, napisanym specjalnie do książki o Gregorowcach, stwierdził: „Autor uczynił to w wieku dojrzałym, u szczytu swej kariery zawodowej,

jako człowiek spełniony, gdy przezwyciężył odwieczną zmołę naszych ojców i dziadów: chłód, głód i ubóstwo. To jest prawidłowość – biedak nie zaprzęta sobie głowy tym, z czego nie będzie chleba! W autorze stopniowo kiełkowała myśl, że to kim człowiek się staje, wynika z jego korzeni. Jak sam pisze – bez świadomości skąd wyrósł człowiek jest „jak drzewo bez korzeni, niestabilne i anemiczne... i skoro urodził się jako brzoza, nie da się go przesadzić do dębowego lasu, aby tam udawał dąb...”.

Książkę o Gregorowcach można nabyć bezpośrednio u wydawcy (kontakt: dfionik@o2.pl), autora oraz w księgarni internetowej www.sklep.cerkiew.pl.

Doroteusz Fionik
fot. ze zbiorów
Eugeniusza Siemieniuka

Eugeniusz Siemieniuk, *Wieś Gregorowce i... ludzie*, Stowarzyszenie Muzeum Małej Ojczyzny w Studziwodach 2020, ss. 128, il. 170.

Sami o Sobie. Miesięcznik społeczno-kulturalny. Nieodpłatny dodatek do Przeglądu Prawosławnego

Współfinansowany ze środków Ministra Spraw Wewnętrznych i Administracji

oraz Fundacji im. Księcia Konstantego Ostrońskiego

ISSN 1899-9018 Nr indeksu 371416

Wydawca: Fundacja im. Księcia Konstantego Ostrońskiego

Redaguje zespół: Michał Bołtryk, Andrzej Charyło (sekretarz redakcji), Eugeniusz Czykwini (redaktor naczelny)

Doroteusz Fionik, Natalia Klimuk, Ałła Matreńczyk, Anna Petrovska

Anna Radziukiewicz (zastępca redaktora naczelnego), Dorota Wysocka

Opracowanie graficzne: Dorota Wysocka

Skład komputerowy: Halina Kierdelewicz

Adres redakcji: 15-399 Białystok, ul. Składowa 9; tel./fax (0048 – kier. z zagranicy) 85 742 18 57

e-mail: redakcja@przegladprawoslawnny.pl; www.przegladprawoslawnny.pl